

Mój dąb w Suwałkach



Fot. Dariusz Sankowski z Pixabay

Jarosław Abramow-Newerly (*Toronto*)

Pierwszy raz zetknąłem się z Pojezierzem Suwalsko-Augustowskim bardzo dawno, bo w 1954 r. Byłem wtedy na studiach. Mój Ojciec zapalony myśliwy zabrał mnie ze sobą na polowanie na głuszca do Puszczy Augustowskiej. Jest to bardzo rzadki ptak i na jego odstrzał trzeba było uzyskać specjalne zezwolenie. Ojcu w tym polowaniu towarzyszył wytrawny myśliwy, redaktor naczelny „Łowca Polskiego” Zbigniew Kowalski oraz znakomity fotografik przyrody Włodzimierz Puchalski. Redaktor Kowalski miał uczyć Ojca trudnej sztuki podchodzenia głuszca. Wymagało to najpierw pójścia wieczorem na tak zwane zapady, czyli wypatrzeć w puszczy, na którym drzewie głuszec zapadnie, aby rano, kiedy tokuje na sośnie wabiąc samicę podejść go i ustrzelić. W czasie toków mniej słyszy, ale i tak jest bardzo czujny i wymaga od myśliwego specjalnych umiejętności.

Rejon naszego polowania znajdował się w leśnictwie położonym blisko śluzy Przewież na Kanale Augustowskim. Zgodnie z planem przed zmierzchem udaliśmy się wszyscy czterej na podchody. Redaktor Kowalski był przedwojennym doświadczonym myśliwym, znał świetnie las i niejednego głuszca w życiu ustrzelił. Wiedział świetnie, na jakiej mniej więcej starej sośnie głuszec może na noc zapaść. My szliśmy ze swoimi dubeltówkami na ramieniu, a Włodzimierz Puchalski z dużym

aparatem fotograficznym na piersiach. To była jego broń. Ubrany był w strój myśliwski. Nosił na głowie zielony kapelusz, był w takich samych zielonych gumiakach i w kurtce w kolorze ochronnym. Panowie dobrze się znali i podczas tych podchodów przekomarzali się ze sobą.

Puchalski uznawał tylko bezkrwawe łowy, którą to nazwę sam wymyślił i popularyzował na licznych zdjęciach przyrody, z których był sławny, zamieszczanych między innymi w tygodniku „Przekrój”. Pochodził z Lwowa, miał lwowski akcent i duże poczucie humoru.

- Ty to, braszku, jesteś rzeźnik - mówił do Kowalskiego - Tylko byś mordował te biedne zwierzęta. Co to za przyjemność? Mnie to nie rajcuje. Prawdziwą frajdą jest ustrzelić głuszca z mojego aparatu i go nie zabić. Niech sobie dalej tokuje, śpiewak. Ot co!

Kiedy zbliżyliśmy się do przypuszczalnych zapadów Kowalski nakazał całkowitą ciszę. - Podbiegamy bezszelestnie parę kroków i zamieramy w bezruchu. Nasłuchujemy - pouczał Ojca zapominając o tym, że Tata nie ma jednej nogi, nosi ciężką skórzaną protezę i nie może biegać. Redaktor „Łowca Polskiego” miał jednak dobrego myśliwskiego nosa, bo mieliśmy szczęście wypatrzeć czarnego głuszca na wysokiej sośnie na której zapadł na noc. Puchalski go sfotografował. Miał w swoim aparacie przybliżający teleskop. Teraz pozostawało tylko jutro po cichu go podejść i ustrzelić. Nazajutrz zerwaliśmy się o samym świcie i ruszyli na podchody. Podziwiałem Kowalskiego jak pewnie prowadzi w miejsce zapadów. Z daleka usłyszeliśmy tokującego głuszca.

- Słyszycie? Cuszika. Mamy go! - rzekł Kowalski - Teraz, panie Igorze, tak jak mówiłem, podbiegamy parę kroków i zamieramy w bezruchu. Dobrze jak pan, młody człowieku - zwrócił się do mnie - zdejmie buty. Żadna gałązka pod stopami nie ma prawa zaszeleścić. On jest bardzo czujny. I łatwo go spłoszyć.

Podchodziłem go więc ofiarnie w skarpetach, podbiegając na znak Kowalskiego tylko wtedy, kiedy głuszec siedzący wysoko w koronie sosny głośno tokował. Kiedy byliśmy już prawie na odległość strzału głuszec się nagle poderwał i odfrunął. Na nic więc zdały się rady Kowalskiego i moja ofiarność. Wróciliśmy z tych podchodów z niczym. Tylko Puchalski go ustrzelił i miał jego zdjęcie. Ja dodatkowo miałem mokre nogi.

Kiedy przyszliśmy do Przewięzi czekał nas niezwykle widok. Do śluzy wpadł wilk i nie mógł z niej wyjść. Pazurami rozpaczliwie drapał w belki i wystawiał łeb z wody.

- Postaramy się go odłowić - rzekł leśniczy. Już nie pamiętam jak to zrobił, ale wilk został uratowany. W tym samym roku 1954 poznałem Suwalszczyznę. Pojechałem bowiem nad jezioro Wigry, o którym wiele opowiadał mi mój Ojciec, szczególnie zachwalając przepiękną rzekę Czarną Hańczę. Zamieszkałem w Domu PTTK, w którym nie było żadnych turystów. Łodzią na wiosła dotarłem do pustego klasztoru Kamedułów, który mieścił się na wysokim półwyspie. Z tego klasztoru mnisi zostali usunięci i ich eremy stały puste.

Następne moje spotkanie z Augustowem miało miejsce w lipcu 1962 roku. Postanowiliśmy spędzić tam wakacje razem z Włodzimierzem Odojewskim, Jerzym Krzysztoniem i Januszem Krasińskim. Dołączył do nas Zbigniew Herbert. Ponieważ żona Włodka, Inka Odojewska była bardzo wymagająca pod względem wygód, chciała mieć łazienkę z ciepłą wodą, Włodek wynajął mieszkanie w nowym bloku. W jego ślady poszedł Jerzy Krzysztoń. Ja zamieszkałem niedaleko w domu leśniczego. Byliśmy tam więc w gronie młodych pisarzy. Lato tego roku było deszczowe spędzaliśmy więc czas w mieszkaniu Włodka Odojewskiego grając w pigwę. Stołowaliśmy się w jedynej restauracji „Stodoła”. Zbyszek Herbert, który często bywał w Augustowie, słyszał o tragicznej historii. Właśnie w tej restauracji „Stodoła” kilku młodych chłopców po wypiciu paru piw posprzeczało się ze swoim rówieśnikiem Brunonem Wojciechowiczem. Wyprowadzili go z restauracji i pobili na śmierć. W szkole przezywano Brunona „Lalek”, ze względu na zawsze schludny wygląd i delikatne maniery. Wszyscy chłopcy mieszkali na robotniczym osiedlu Lipowiec. Zbyszek znał matkę Brunona i pomógł jej we wszystkich czynnościach pogrzebowych. Był w prosektorium i identyfikował ciało zmarłego. Wziął udział w pogrzebie. Lalek zginął bo był kolorowym ptakiem wśród szarych wróbli. Drażnił ich swoją innością. I przypłacił to śmiercią.

Po dwóch latach Zbyszek Herbert napisał świetne słuchowisko radiowe „Lalek”, którego akcja rozgrywała się właśnie w takiej prowincjonalnej knajpie. Bezsensowna śmierć młodego, niewinnego chłopca stała się kanwą tego utworu. Wszyscy interesowaliśmy się sztuką i usłyszeliśmy, że w Augustowie mieszka ciekawy ludowy rzeźbiarz, który nazywa się Jan Szostak i warto go odwiedzić. Rzeźbił w drzewie

różne figury, w tym świątki. Jego prace były interesujące i wszystkim nam się podobały. Pewnego wieczoru Włodek Odojewski wyraźnie poruszony powiedział:

- Zgadnijcie co mi w wielkiej tajemnicy powiedziała wczoraj nasza gospodyni? - No, nie wiem. Mów wreszcie - ponaglił go Jurek Krzysztoń. - Wyobraźcie sobie, że ten cały poczciwy rzeźbiarz Szostak w lipcu 1945 roku brał aktywny udział w wielkiej Obławie Augustowskiej przeprowadzonej przez wojska NKWD i polskie UB na tutejszej ludności. Wydawał w ręce Rosjan byłych żołnierzy AK. Nazwano go katem Augustowa - Nic o tej obławie nie słyszałem - powiedziałem zdziwiony - A widzisz! - odparł mi Włodek. - Bo to jest okryte wielką tajemnicą. Wywieziono wtedy z Augustowa i Suwalszczyzny mnóstwo ludzi w głąb Rosji. Wielu już nigdy nie wróciło z łagrów - No, proszę! - wtrącił Janusz Krasiński, który przesiedział dziewięć lat w stalinowskim więzieniu. - A on mi wyglądał na ubeka. Ja na nich mam nosa - stwierdził. - Krótko mówiąc do tego już doszło, panowie, że byli ubecy rzeźbią świątki i są ludowymi artystami - skwitował Zbyszek Herbert.

Wiadomości o tej obławie dużo później zostały odkryte i badacze tej zbrodni dowiedli, że ta akcja przeprowadzona została na osobisty rozkaz Stalina, który planując swoją podróż pociągiem do Berlina na pokojową konferencję w Pocztdamie, postanowił oczyścić teren z wrogów ludu.



Jarosław Abramow Newerly (z prawej) z ojcem, Igiorem Newerlym w lesie na Mazurach, fot. arch. J. Abramowa Newerly'ego

Przez Marka Nowakowskiego na początku lat sześćdziesiątych poznałem znakomitego grafika Jerzego Jaworowskiego, autora świetnych plakatów i kierownika pracowni graficznej wydawnictwa „Czytelnik”. To Jawor, jak go nazywaliśmy, pięknie zilustrował pomnikowe wydanie „Trylogii” Henryka Sienkiewicza. Jurek Jaworowski był o czternaście lat starszy ode mnie i urodził się w Augustowie. Jego ojciec, Jan Jaworowski był przed wojną powiatowym lekarzem w Augustowie. Jurek w dyskrecji przyznał mi się, że był aresztowany w Obławie Augustowskiej w lipcu 1945 roku i wywieziony w głąb Rosji, gdzie spędził kilka lat w łagrach, ciężko pracując w kamieniołomach. Dopiero grubo po wojnie udało mu się szczęśliwie wrócić do Polski i podjąć spóźnione studia. Jawor, który znakomicie znał

ziemię augustowską, polecił mi na wakacje wieś Wojciech nad jeziorem o tej samej nazwie, które łączyło się z dużym jeziorem Białym. Pojechaliśmy do Wojciecha razem z Markiem Nowakowskim i jego żoną Jolą. Gospodarze państwo Woronieccy, co wtedy było wielką rzadkością, prowadzili gospodarstwo agroturystyczne i wynajmowali wczasowiczom pokoje z pełnym wyżywieniem. W Wojciechu spędzała również swoje wakacje żona Jurka Jaworowskiego - Hanka z dziesięcioletnim synem Piotrusiem. Jawor pracował w Warszawie i dojeżdżał do nas na niedzielę swoim autem. Miejscowość była przepiękna i te wakacje w Wojciechu uważam za jedne z najlepszych w moim życiu. Tam małego Piotrusia Jaworowskiego nauczyłem pływać. Zabrałem ze sobą mój składany kajak, którym pływaliliśmy po jeziorze. To mi jednak nie wystarczyło i wyczytałem w przewodniku, że niedaleko stąd płynie rzeka Blizna i warto się na nią wybrać. Popłynęliśmy tam więc z Markiem Nowakowskim i ten spływ okazał się niezapomniany.

Blizna była całkowicie dziką rzeką płynącą przez szuwary i podmokłe łąki. Było to prawdziwe uroczysko. Na tej rzece mogłem sobie wyobrazić jak wyglądały przedwojenne spływy Ojca na naszym Polesiu. Po obydwu brzegach rosła wysoka trzcina. Czasem z tej trzciny podrywała się spłoszona czapla. Dzień był wyjątkowo upalny. Żar lał się z nieba. Nie wzięliśmy ze sobą nic do jedzenia, ani do picia. Spragnieni wody piliśmy ją prosto z rzeki. Była krystalicznie czysta. Gdzie spojrzeć na płaskim terenie rosło tylko zielone sitowie. Nie sposób było wyjść na brzeg, bo wszędzie były dzikie moczary.

- Wpakowaliśmy się w niezłą wyrpę. Co, stary? - śmiał się ubawiony Marek. Pierwszy raz był na takim wariackim spływie i dzielnie wiosłował w czubie kajaka. Ja jako kapitan siedziałem z tyłu u steru. Nie mieliśmy wyjścia i skazani byliśmy na to wiosłowanie. Po kilkunastu kilometrach, zmordowani wiosłowaniem i tym upałem dopłynęliśmy do niedużego jeziora, w którym z rozkoszą się wykąпалиśmy. Późnym wieczorem zmachani ale i szczęśliwi, że tak po męsku sprawdziliśmy się na tej Bliźnie, wróciliśmy do domu.

W 1969 roku również Jurek Jaworowski polecił mi pensjonat pani Jasiewiczowej w Gawrychrudzie nad jeziorem Wigry. Był to jeden z nielicznych w Polsce pensjonatów. Nie zabrałem ze sobą kajaka, ale do dyspozycji pensjonariuszy były łodzie. Jedzenie było wyśmienite. Spędziłem tam bardzo miło dwa tygodnie. Po wielu latach w tym

samym pensjonacie pani Jasiewiczowej w Gawrychrudzie przebywał w stanie wojennym świetny pisarz i poeta Jarosław Marek Rymkiewicz, który opublikował potem książkę w Instytucie Literackim w Paryżu oraz w wydawnictwie drugiego obiegu „Rozmowy Polaków”, które umieścił w tym pensjonacie w Gawrychrudzie. Nie mogłem liczyć na wyszukanie mi nowego miejsca na Suwalszczyźnie, czy na jeziorach augustowskich na Jurka Jaworowskiego, bo niestety zmarł przedwcześnie w 1975 roku. Zachorował na wyjątkowo agresywną formę białaczki, na którą nie było ratunku. Dla naszego przyjacielskiego grona Jego odejście było wielką stratą. Ciągle z Markiem Nowakowskim (dopóki żył) i Jolą wspominaliśmy przemiłego Jawora.

W 1977 roku znów zatęskniłem za Wigrami i postanowiliśmy z moją Żoną Wandzią spędzić tam wakacje. W małej wiosce Zakąty, po drugiej stronie jeziora co Gawrychruda, swój dom pobudował mój stary przyjaciel z STS-u Stanisław Tym, który ukochał Zakąty, ten prawdziwy zakątek dzikiej przyrody. Staś Tym mieszkał w tym domu z żoną Anną, świetnym architektem, oraz chyba dziesięcioma psami. Najstarszy był chiński Czau-Czau, na którego dowcipny Staś wołał Fotel.

- To jest, drogi Jarku, mój Fotel - tłumaczył mi i lekko na nim siadał. Reszta psów to były kundły przygarnięte przez Stasia. My z Wandzią też przyjechaliśmy z psem pudlem, który urodził się w dzień świętego Huberta, patrona wszystkich myśliwych i Wandzia postanowiła go nazwać Hubert. W zdrobnieniu nazywaliśmy go Hubek. Moja córka Basia, jak była mała, nie mogła tego wymówić i wołała na niego Ubek. Kiedy powiedziałem o tym Stasiowi, bardzo mu się to spodobało.

- Ubek do nogi. Znakomite! - śmiał się. Staś polecił nam gospodarzy, którzy zgodzili się nas stołować. Przetrwał tam prastary zwyczaj raz w tygodniu pieczenia dużych bochnów razowego chleba na liściach kalmusu. Ten razowiec posmarowany świeżo ubitym masłem i leśnym miodem smakował lepiej niż najlepsze ciastko od Bliklego. Te wakacje w Zakątach też były jedne z piękniejszych.

Moim starym kolegą jeszcze ze szkoły i ze studiów był Marian Jonkajtys. Marian zaczął studiować rusycystykę, ale znudzony studiami postanowił zdawać do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Namawiał mnie, żebym razem z nim poszedł na egzamin. Posłuchałem go i przygotowałem balladę Mickiewicza „Czaty”. „Z ogrodowej altany, wojewoda zdyszany” - recytowałem w domu głośno. Ale w

ostatniej chwili stchórzyłem i nie poszedłem z Marianem na ten egzamin. On został aktorem, a ja jako aktor wyżywałem się w teatrze STS. To aktorstwo w końcu mnie zmęczyło, wymagało grania każdego wieczoru, a ja wolałem być wolny. Większą przyjemność sprawiało mi pisanie tekstów dla aktorów i słuchanie reakcji publiczności. Z czasem Marian Jonkajtys został znanym aktorem estradowym, tańczył i śpiewał. Wraz z żoną, świetną piosenkarką Reną Rolską często wyjeżdżał na tournée do Rosji, gdzie w znakomicie opanowanym języku rosyjskim prowadził konferansjerkę. Obydwoje byli bardzo popularni w Rosji. Kariera aktorska mu nie wystarczyła i w dawnym stalinowskim Domu Kultury na Targówku postanowił założyć Muzyczno-Estradowy Teatr. Kosztowało go to wiele trudu. Był bezpartyjny, ale dopiął swego. Stworzył „Teatr na Targówku”, który dziś nazywa się „Rampa”. Marian namówił mnie, żebym do jego teatru napisał musical. W tym celu zatrudnił mnie jak swojego doradcę programowego. Dzięki niemu napisałem musical „Kto mi śpiewa serenadę?”, który wystawiony został w gorącym okresie pierwszej „Solidarności” w 1980 roku. Marian zagrał w nim głównego bohatera i brawuro odśpiewał i odtńczył moje piosenki.

Po wprowadzeniu stanu wojennego przestał być dyrektorem teatru, a ja wraz z nim straciłem posadę. - To co teraz będziesz robił? - spytałem go. - Postanowiliśmy razem z Renusią zerwać z zawodem aktorskim i nie występować już na estradzie - odparł mi. - To z czego będziecie żyć? Macie na utrzymaniu syna Grzegorza? - Zmienimy zawód. Przekwalifikujemy się - odpowiedział mi szybko. Nie bardzo w to wierzyłem. Ale Marian dotrzymał słowa i zaczął wyrabiać artystyczne przedmioty sprzedając je w „Cepelii”. Został metaloplastykiem. Rzeźbił również w drzewie ludowe świątki. Uzyskał dyplom artysty rzemieślnika.

Tak jak Jawor pochodził z Augustowa i w 1940 roku jako dziewięcioletni chłopiec został aresztowany wraz z matką nauczycielką i starszym rodzeństwem przez NKWD. W nieludzkich warunkach wywieziono ich w bydłowych wagonach aż do Kazachstanu. Tego długiego transportu podczas straszliwej zimy 1940 roku wielu ludzi nie wytrzymało i zmarło z głodu i mrozu. Ich martwe ciała strażnicy wyrzucali z pociągu. Kiedy po miesiącu jazdy ten morderczy transport dotarł wreszcie do Kazachstanu przewodniczący Kołchozu powitał ich tymi słowami: - Was panowie iz Polszy przywieziono tutaj, żebyście wyzdychali.

Oni jednak wytrwali i na tym zesłaniu przeżyli sześć lat. O tym wszystkim Marian mi nie mówił w czasach PRL-u i pojęcia nie miałem, że jako chłopiec tyle się wycierpiał. Dowiedziałem się o tym dopiero po 1989 roku. Co ciekawsze Marian pomimo tych strasznych przejść nie żywił żadnego urazu do Rosjan. Wręcz przeciwnie. Poszedł na rusycystykę i znakomicie śpiewał na akademiach rosyjską piosenkę „My futbolisty” w duecie z drugim kolegą Markiem Lipszycem. Podczas stanu wojennego zaczął również pisać wiersze z czym się też krył. Dopiero pod koniec życia mi je pokazał i poprosił, żebym do nich napisał wstęp. Wydał tę książkę w Instytucie Lwowskim u innego mojego wielkiego przyjaciela Janusza Wasylkowskiego, który ten Instytut założył w swoim mieszkaniu na Jelonkach w 1991 roku, nie mając w domu telefonu, ani samochodu. Po przeczytaniu tych wierszy byłem prawdziwie wstrząśnięty.

We wstępie do tej książki zatytułowanej „W Sybiru Białej Dżungli” napisałem: *Wiersze Mariana Jonkajtysa są naprawdę niezwykle. Skromnie nazwane zapiskami mają coś z pamiętnika ocalającego miejsca, nazwy i fakty – jednocześnie zrymowane celnie i błyskotliwie, nierzadko z humorem. Niektóre utwory są klasy Feliksa Konarskiego – Refrena i innego Mariana – Hemara. „Marsz Sybiraków” ma na pewno ten sam ładunek uczuciowy co słynne „Czerwone maki na Monte Cassino” Refrena, czy „Karpacka brygada” Hemara. Nic dziwnego więc, że marsz ten, ze świetną muzyką Czesława Majewskiego, stał się Hymnem Sybiraków.*

Swoje poezje podarował mi Marian z następującą dedykacją: „Jarkowi – drogiemu Przyjacielowi z wyrazami szacunku i wdzięczności – Marian. Grudzień 2002.” Nie wiadomo kto komu powinien być wdzięczny – pomyślałem. Dzięki Marianowi napisałem musical „Kto mi śpiewał serenadę?” W niedługim czasie Marian Jonkajtys zmarł przedwcześnie na raka. Dziś jest bardzo szanowany jako poeta i bard Sybiraków, a Jego rodzinny Augustów uczcił Go nadając jednej z ulic nazwę Mariana Jonkajtysa. W teatrze Rampa ma także swoje upamiętnienie. Jego popiersie wita od lat gości w holu teatru. Wiersze Mariana mają jeszcze tę zaletę, że pisane były przez aktora i nadają się świetnie do recytacji.



Igor Newerly na kajaku, fot. arch. J. Abramowa-Newerly'ego

W 2003 roku Biblioteka Narodowa w Warszawie postanowiła urządzić wystawę w stulecie urodzin mojego Ojca. Pomysłodawcą i kuratorem tej wystawy był profesor Jan Zieliński, który wpadł na oryginalny pomysł by na tej wystawie wyeksponować drewniany kajak zrobiony przez mojego Tatę. Wystawa ta była bardzo udana i Muzeum w Suwałkach zgłosiło się, że chcą tę wystawę do siebie przenieść. Tak, że kajak Taty zawędrował do Suwałk. Jako gość honorowy zostałem zaproszony do Suwałk, gdzie pojechałem wraz z moją córką Basią. Uroczy dyrektor Muzeum Jerzy Brzozowski, po oprowadzeniu nas po wystawie, zaproponował bym w ogrodzie posadził drzewo na pamiątkę tego wydarzenia. Z radością to z Basią uczyniliśmy. Teraz ten dąb ma już siedemnaście lat. Tak, że Ojciec i ja mamy swoje drzewo w Suwałkach. Pracownik Muzeum starszy kustosz i kronikarz życia literackiego Suwalszczyzny - Zbigniew Fałtynowicz obwiózł nas swoim samochodem po ziemi suwalskiej. Odwiedziliśmy m.in Stasia Tyma w Zakątach nad jeziorem Wigry.

Do napisania tych wspomnień zachęciło mnie dwóch wiernych synów Augustowa. Bogdan Falicki zamiłowany animator kultury i społecznik oraz założyciel Klubu Augustowian i Suwalczan w Warszawie i profesor Bernard Wielgat - uczonego badacz w Instytucie Biochemii i Biofizyki. Mimo, że od lat mieszkają w Warszawie, Augustów i Suwalszczyzna jest w sercu ich małą Ojczyzną. Dzięki takim ludziom jak Oni pamięć o tej pięknej i doświadczonej ciężko przez historię ziemi wciąż jest żywa.

W dwóch światach jednocześnie

Dariusz Pawlicki

Dobrze pamiętam jak jeszcze niedawno, aby przenieść się w myślach w inne miejsce, odległe o wiele kilometrów, musiałem zamknąć oczy. Dopiero wtedy, gdy wizualna strona świata realnego, jakby przestawała istnieć, mogłem rozpocząć wizytę w owym „innym miejscu”. Przy czym to przenoszenie mogło odbywać się tylko wtedy, gdy stałem, leżałem bądź siedziałem. A obecnie może mieć miejsce także podczas wędrówki. Zmieniło się także i to, że owe wizyty w odległych miejscach, nie ograniczają się tylko do tego, co widzę. Towarzyszą im bowiem doznania słuchowe, dotykowe, zapachowe.

Ale sprawa odwiedzania w taki sposób miejsc przedstawia się teraz jeszcze o tyle inaczej, że są one odległe o tysiące kilometrów. Przebywam przykładowo na Manhattanie. A konkretnie na Morton Street, w środku Greenwich Village, którą zresztą lubię. I będąc tam, przypatruję się ceglanyim ścianom domów, okiennicom w niektórych oknach. Następnie chodnikom ułożonym z dużych płyt kamiennych. Ale nagle przenoszę się na bliską mi Suwalszczyznę. Owe przenosiny, odbywają się prawie zawsze bezproblemowo, bez żadnego też okresu przejściowego. Po prostu w następnym momencie mogę znaleźć się, chociażby, na drodze leśnej wiodącej od Gościńca w stronę Przewrocza, a dalej ku Ciemnemu Lasowi nad Czarną Hańczą.



Dom przy Morton St., fot. D. Pawlicki.

Idąc po asfaltowej nawierzchni lub płytach kamiennych na wspomnianej Morton Street, odczuwam równocześnie pod butami miękkość piaszczystej drogi, a także, raz po raz, sztywność szyszki, świerkowej lub sosnowej. Pamiętam też wówczas o zwracaniu uwagi na wystające z ziemi grube korzenie. Zwłaszcza w jednym miejscu, gdzie wspomniana droga biegnie nieco w dół, jest ich wiele i są szczególnie grube. A za sprawą kolejnego deszczu, wypłukującego piasek i żwir, ukazują się następne. Przy tym niebo nad Greenwich Village, najczęściej błękitne z pojedynczymi lekkimi obłokami, jest równocześnie niebem nad lasem, przez który wędruję. Ów las znajduje się na północnych obrzeżach rozległej Puszczy Augustowskiej.

Wszystkiego tego, jak wspomniałem, doznaję na jawie. A przy tym moje oczy są otwarte. I wiem, gdzie przebywam ciałem i gdzie przebywam... duszą. No bo jeśli składa się na mnie ciało i dusza, a to pierwsze jest w jednym miejscu, więc w drugim musi być dusza; bo cóż innego?

Łatwość poruszania się po wspomnianym miejscu, jak i po innych na Suwalszczyźnie, wynika z wielokrotnego i długiego przebywania w nich wcześniej. A także, co jest chyba oczywiste, z tęsknoty za nimi. Myślę nawet, że tęsknota, w formie jakiegoś zadośćuczynienia, daje mi w zastępstwie możliwość takiego podróżowania. W zastępstwie, gdyż nie zdarzy się żaden cud, i póki nie przelecę samolotem nad Atlantykiem, kora drzewa, którego dotknę, będzie korą drzewa rosnącego na przykład na Washington Square, a nie nad jeziorem Pogorzelec.

O przenoszeniu się w konkretny punkt na Suwalszczyźnie decyduje nastrój, pragnienie znalezienia się właśnie w nim, a nie gdzie indziej. Ale niekiedy powodem jest, co innego. Może to być na przykład...

Lipcowy dzień był gorący. Czuć też było w powietrzu wstrętną wilgoć. Jeszcze gorzej było, gdy znalazłem się w podziemiach, na ruchliwej stacji metra o nazwie Union Square na Manhattanie. I właśnie wtedy dotarło do mnie wspomnienie styczniowego, wczesnopopołudniowego dnia. Mróz był kilkunastostopniowy, ale nie wiał wiatr.

Ruszyłem z moim kuzynem ku brzegowi jeziora Pogorzelec. Weszliśmy na powierzchnię zamarzniętego jeziora. Jakakolwiek ostrożność w tym wypadku była

najzupełniej zbędna, gdyż mieliśmy pod sobą przeszło trzydzieści centymetrów lodu. Śnieg sięgał za kostki i był dziewiczy. Jedyne w kilku miejscach natrafiliśmy na tropy saren, które ze wschodniego brzegu przeszły na przeciwległy.

Biały puch iskrzył się w słońcu. Nad sobą mieliśmy intensywnie niebieskie niebo z nielicznymi obłokami. W oddali, na tle ośnieżonego lasu widać było dwóch wędkarzy. Raz po raz wstawali z siedzisk i stawali przy przerębłach.

Odczuwałem radość, że idę w zimowy dzień, pod pięknym niebem, w temperaturze, którą lubię. A obok podąża mój kuzyn. Nie rozmawiamy, gdyż wszystko jest oczywiste. Wejście do klimatyzowanego wagonu spowodowało, że z nad jeziora Pogorzelec skutego lodem powróciłem do Nowego Jorku. I nastąpiło to w oka mgnieniu.

Szczególnie mocno utkwilo mi w pamięci przebywanie w dwóch światach, gdy kilka tygodni temu szedłem przez Ridgewood na Queensie. Przemierzałem bardzo czyste, nie tylko jak na Nowy Jork, ulice, przy których stały jedno-, dwupiętrowe domy. Przed wieloma spośród nich znajdowały się niewielkie ogródki. Rosło tam też wiele drzew. Może właśnie te drzewa sprawiły, że w myślach znalazłem się w zupełnie innym miejscu. Nie, raczej nie one; na Ridgewood jest bardzo wiele klonów. Natomiast tam, gdzie przeniosłem się duszą, zdecydowanie dominują sosny i świerki, zaś klony są nieliczne.



Gremzdówka, fot. D. Pawlicki.

Przestałem odczuwać twardość asfaltowej nawierzchni pod podszwami, gdy zszedłem z szosy. Dalej powędrowałem leśną drogą w stronę niewielkiego mostu na Gremzdówce. Ziemię pomiędzy pniami drzew pokrywał prawie jednolity kobierzec mchów. W miejscach, gdzie dominowały świerki, las wyglądał bajkowo, ale równocześnie tajemniczo. Wkrótce wyszedłem na otwartą przestrzeń. Przed sobą miałem Gremzdówkę, na której brzegach rosły liczne olchy. A po prawej stronie, spoza drzew i zarośli, przeziarał fragment jeziora Miałkiego.

Gdy oparłem się o poręcz mostku, zacząłem wpatrywać się w bystry nurt niewielkiej rzeczki. Za sprawą czystej wody widziałem piaszczyste dno, gęsto upstrzone fragmentami muszli małży i kamieniami rozmaitej wielkości. Raz po raz w polu widzenia pojawiały się ławice drobnych ryb i pojedyncze, polujące na nie okonie. Ale to mogły być też jakieś inne ryby. Nie mogłem im się dokładnie przyjrzeć, gdyż były bardzo ruchliwe. Postaci umieszczonych we wnętrzu niedużej, przeszklonej kapliczki zawieszanej na drzewie, tuż przy moście, nie widziałem wyraźnie. Ale to niewidzenie było spowodowane tym, że ich nie pamiętałem. Na własne oczy widziałem je tylko raz jeden. Ale utkwiała mi w pamięci, mniej więcej, wielkość i kształt brązowej kapliczki. I na jej obserwacji, to moje połączenie z bardzo odległym punktem na Ziemi, urwało się. Doszedłem bowiem do Fresh Poind Road. A panujący tam ruch, na chodnikach i jezdni, wymusił uwagę.

1 sierpnia przemierzałem Brooklyn z południowego-wschodu na północny-zachód. Dzień był gorący - około 34° C w cieniu, ale, na szczęście, wilgotność jak na Nowy Jork latem, była niewielka - 40%. Wysoką temperaturę odczuwało się szczególnie na rozległych, wybetonowanych placach, na które nie rzucały cienia drzewa ani ściany domów. Niewielu napotykałem ludzi, szedłem bowiem przez tereny zajęte przez liczne hurtownie, magazyny, niewielkie fabryki. I zupełnie niespodziewanie, jakiś szczegół dostrzeżony na trasie bądź jakaś myśl, która przemknęła mi wtedy przez głowę, sprawiła, że przeniosłem się w wiadome miejsce. Ale tym razem nie wspominałem tego, co kiedyś się wydarzyło.

Dzień jest chłodny. Kolory liści na drzewach wskazują na początek jesieni. Mam na sobie kurtkę, a pod nią cienki sweter. Jest późne popołudnie i słońce znajduje się już

nisko nad Lasem Pogorzelskim. Panuje cisza, jak to na Suwalszczyźnie ma miejsce już na długo przed zmierzchem. Panuje też całkowity bezruch. Ale przede wszystkim jest cicho. Tej ciszy mogę słuchać i słuchać. Takie dźwięki jak chrzęst żwiru pod podeszwami butów, tylko ją podkreślają.

Schodzę z drogi gruntowej prowadzącej z Jeziork do Krasnopola, przechodzę przez łąkę i wdrapuję się na wzgórze. Siadam na grubej gałęzi pod niską sosną pochyloną za sprawą północnego wiatru, który stale tam wieje. On też ustala kierunek fal na jeziorze Głuchym. Te fale rozbijają się u podnóża wzgórza. Dlatego na wąskiej piaszczystej plaży jest zawsze pas piany, szerszy bądź węższy. Odgłosy monotonicznych uderzeń dochodzą do mych uszu. Ale poza tym dźwiękiem istnieje wyłącznie cisza. Ze wzgórza widzę samotne gospodarstwa rozrzucone nad brzegami jeziora. Każde z nich jest częściowo skryte wśród starych drzew i usadowione na niewielkim zniesieniu, w jakie obfituje północna Suwalszczyzna.

Robi się coraz chłodniej i jestem zmuszony zapiąć kurtkę pod samą szyję. Ale na... brooklyńskiej ulicy, jak było, tak i jest skwarnie. Dzisiaj jest jeszcze goręcej. Do tego w powietrzu jest chyba wyłącznie wilgoć. Niestety, ale kilka podjętych przeze mnie prób przeniesienia się nad skute lodem jezioro Wigry, spaliło na panewce. To, co zobaczyłem, prezentowało się niewyraźnie, było bardzo rozmyte. Wyróżniłem w tej swoistej mgłę jedynie zarysy obu wież kościelnych i wieży zegarowej na Półwyspie Klasztornym. Aby poczuć ulgę, próbowałem wyobrazić sobie owiewające mnie zimne powietrze. Ale i z tego nic nie wyszło. Zdesperowany, próbowałem pójść na całość i, mimo wszystko, wmówić sobie, iż jest bardzo zimno. Po czym ubrałem się, oczywiście w myślach, w sweter. Szybko jednak go zdjąłem, gdyż poczułem jeszcze wyższą temperaturę. Nie miałem już wątpliwości co do tego, że dziś moja dusza nie wyrwie się z Nowego Jorku. Najwidoczniej wilgoć, gdy jest jej nazbyt dużo w powietrzu, sprawia, że staje się ona za ciężka.